Nr. 25. We Lwowie dnia 17. czerwca 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Wydawnictwo materjałów do historji powstania 1863–1864.

Tom IV. Zeszyty I., II. — Lwów, 1894.

I.

W ostatnich latach zawrzało w literaturze, dotyczącej powstania 1863 r. Zajmują się niem najrozmaitsze stronnictwa, a górują oskarżenia; znana »*Historja dwóch lat*«, napisana przez jawnego stronnika moskiewskiego, prym trzyma w tym chórze, posługując się carskimi dokumentami i zeznaniami rozmaitych zdrajców. Obrońcy zaś obowiązku narodowego nie mają wcale aktów śledczych, bardzo mało dokumentów urzędowych, i muszą się ograniczać wspomnieniami uczestników, rzadziej świadków ostatniego zbrojnego ruchu. Tem trudniejszą jest ich rola, że muszą postępować z największą ostrożnością, by nie skompromitować żyjących dotąd osobistości, wystawionych na zemstę i prześladowania zaborców; oskarżyciele wcale się takimi względami nie krępują i mają przeto ogromną przewagę. Dodajmy do tego, że liczba uczestników coraz się zmniejsza, że główni zginęli już przed trzydziestu laty, zabrawszy z sobą do mogiły najważniejsze wiadomości, że ci, którzy ocaleli, czy zdradą, czy szczęśliwym wypadkiem, mogą najspokojniej przekręcać fakty, szkalować poległych, usprawiedliwiać własne błędy i przestępstwa — i możemy sobie łatwo wystawić, jak trudno zdać sobie sprawę z tego, czem było rzeczywiście ostatnie powstanie.

Obroną narodu i spotwarzonych ofiar zajmował się głównie w ostatnich latach ś. p. Agaton Giller, jeden z głównych organizatorów powstania i wydane przez niego materjały zawierają wiele cennych szczegółów, acz zbyt często pozbawionych krytyki; bo Giller umieszczał żywcem wspomnienia uczestników, których nie mógł skontrolować, ponieważ ani do pierwszych ruchów nie należał, ani w polu nie był — a będąc z powodu swoich umiarkowanych i mistycznych przekonań, wrogiem tych właśnie, którzy najwięcej w organizacji i w powstaniu działali, dawał się może zbyt często uwieźć swoim sympatjom i antypatjom. Z drugiej strony zdawało mu się, że obrona musi być jak najgorętszą, tak bezwzględną, jak bezwzględnem było oskarżenie; dla tego zbyt pobłażliwie zapatrywał się na działalność naszą, zbyt entuzjastycznie wychwalał wszystko, to nawet, o czem był przekonany, że dodatniem nie było. Dawniej jeszcze, długo przed powstaniem, tak samo idealizował całą dawną Polskę, skrywając błędy, zbrodnie nawet, znane światu całemu, przyznane od wieków przez samych naszych historyków, i dla tego nie dziw, że wrogowie nasi, a nawet przyjaciele, odmawiają świadectwu Gillera wszelkiej wagi tam nawet, gdzie bezwarunkowo wierzyć mu trzeba.

Wydawnictwo materjałów do historji powstania 1863 roku miało ciągnąć dalej pracę przez Gillera rozpoczętą i zebrać niezbędne dane dla oceny tego narodowego ruchu. O ile nam wiadomo, miało ono nawet korzystać i w części skorzystało z bogatego zasobu, zebranego przez Agatona, z którego czerpał także bardzo wiele pułkownik Struś. Można się więc było spodziewać, że przybędzie nam wiele rzeczy, rzucających nowe a prawdziwe światło na owczesne wypadki.

Pierwsze tomy niezupełnie odpowiadają takim oczekiwaniom. Z samego wstępu tomu I. p. t. »Rzut oka na powstanie«, można było poznać, że panuje w wydawnictwie dziwna mieszanina pojęć: chwalenie powstania, potępienie tych, co je przygotowali, przesadzanie klęsk i ujemnych skutków, zupełne milczenie o dodatnich wynikach, jednem słowem wyraźny zwrot na prawo, ku tak zwanej pracy organicznej — pod opieką zaborców. Ale że tomy I., II., III. zawierają po większej części urzędowe dokumenty, pracę Gillera o delegacji warszawskiej, bardzo cenne i prawdziwe pamiętniki Bronisława Deskura, wojewody podlaskiego, i dość szczere notatki o organizacji galicyjskiej — taki kierunek nie mógł się wyraźnie uwydatnić, chyba ścisłą cenzurą i obcinaniem tego, co jest dla białych nieprzychylnem, niewygodnem albo wprost szko-

dliwem swoją prawdziwością. Dopiero, w czwartym tomie widać wyraźnie do czego dąży całe wydawnictwo, mające być dalszym ciągiem prac Gillera, a prowadzone — smutno się do tego przyznać — przez byłych członków organizacji i Rządu Narodowego, na których leży główna odpowiedzialność za niepowodzenie. Dąży ono do potępienia całego ruchu, do wybielenia hamujących, a oczernienia działających, do chwalenia jawnych zdrajców Ojczyzny, do wykazywania niemożliwości wskrzeszenia Polski, jednem słowem zupełnie do tego samego, dla czego były napisane «Historja dwóch lat«, »Ostatnie chwile powstania« i podobne prace tego samego, polsko-moskiewskiego autora, oraz »Historja powstania« Moskala Berga, który jest główną wyrocznią takich panów, rozmaite krakowskie pamflety i inne prace »*ejusdem farinae*«. W tomie czwartym już niema dokumentów, a są tylko wspomnienia uczestników lub świadków (?) pisane trzydzieści lat po powstaniu, dające bardzo mało nowych faktów, a bardzo wiele przekręceń powszechnie znanych wypadków, jeszcze więcej nieuzasadnionych oskarżeń i czczych deklamacji, a nad wszystkiem góruje wspaniałe wtórowanie temu, co Berg napisał. Chwali się tych, których on chwalił, potępia tych, których on potępił, chociaż dla każdego nieuprzedzonego czytelnika jasno, że pochwała Moskala jest właśnie potępieniem, a jego potępienie najwyższą pochwałą. Smutno, bardzo smutno, że są ludzie, którzy mieli cywilną odwagę umieścić takie rzeczy w wydawnictwie, gdzie znajdują się wspomnienia Gillera, Deskura, Seweryny Duchińskiej i ogniste powstańcze odezwy!

Dla przyszłego badacza dziejów narodowych rzecz będzie aż nadto jasna. Skoro się spotka z sążnistym panegirykiem Karola Majewskiego (T. IV. Zeszyt II., str. 54, 55) z ciągłemi pochwałami Oskara Awejdy, owego »najbardziej obeznanego (niestety!) z biegiem wypadków i interesów powstania« (tamże str. 53), z uwielbianiem markiza Wielopolskiego (Zeszyt I., str. 171, 173) i porówna to wszystko z tem, co napisane o Majewskim, o Awejdzie, o Wielopolskim u p. Z. L. S. (»Historja dwóch lat«), u Berga, u innych Moskali i moskiewskich stronników, książkę natychmiast zapisze do odnośnej rubryki i cenić ją będzie tą samą miarką, co tamte. Przyjaciel nasz zechce ją zatem sprawdzić, jak spr wdza Berga, wróg z największą przyjemnością zapisze, że »sami Polacy stwierdzają nasze wywody«, gniewając się tylko za to, że tak mało nowych zeznań, podobnych do tych, któremi Awejda posłał prawdopodobnie naprzód Karola Przybylskiego i Cezara Morawskiego do więzienia (Zeszyt II, str. 140, 141), a skutkiem tego Traugutta i jego ministrów na szubienicę. Prawdziwy zaś patrjota powie tylko: »A tu się chwali jawnych zdrajców Ojczyzny i denuncjantów!« i rzuci książkę do kosza.

Ale chociaż wpływ ogólny takich »*post festum*« pamiętników nie może być dla ogólnych dziejów zbyt szkodliwym, właśnie z powodu ich stronności i zgodności z oszczerstwami wrogów, mogą one wywrzeć najgorsze wrażenie na teraźniejsze pokolenie, bo przytaczają mnóstwo rzekomych faktów i bezpodstawnych oskarżeń, głównie na osobistości, które się bronić nie mogą lub nie chcą, że zachęcają przytem do nader szkodliwego dla sprawy narodowej kierunku. Dość się wczytać w te elukubracje, nie znając nawet faktów, by się przekonać o braku dowodów, o sprzecznościach na każdym kroku, by wiedzieć, że ani te pochwały, ani te oskarżenia nie mają żadnej podstawy; ale przeciętny czytelnik zgadnąć nie może, że kiedy napisano: A. był samozwańcem i zdradził, B. był bohaterem — że właśnie B. był samozwańcem i zdrajcą, a A. porządnym człowiekiem. Takie sprostowanie należy do rzadkich teraz świadków owych wypadków, jest ich wyraźnym i koniecznym obowiązkiem. Na nieszczęście nie wielu się takiego sprostowania podejmuje, jak np. nieboszczyk Jarmund, ponieważ jedni boją się narazić »mocarstwom«, drudzy są obojętni na oszczerstwa i nie chcą nikogo skompromitować, trzeci nie chcę się mieszać bez dowodów do sporów nader niepochlebnych, a żadnych dowodów prócz własnego słowa dać nie mogą; stoją zatem zupełnie na tem samem stanowisku, co oskarżyciele narodu i boją się narazić na tę samę naganę za nieudowodnione twierdzenia.

W takich warunkach mniej sumienni mają straszną przewagę i z niej wszelkimi sposobami korzystają. Niemasz wątpienia, że wydawcy tłómaczą się koniecznością zamieszczania wszystkich opinji dla otrzymania zupełnego i wiarogodnego obrazu; ale takie tłómaczenie mija się najzupełniej z prawdą, bo dotychczas niema ani śladu opinji tych, których tom IV. nazywa najgrzeczniej »warchołami«, »anarchistami«, i na których wszystkie pioruny padają. Niema też ich głosów ani u Berga, ani u p. Z. L. S. ani w »*Czasie*«, ani w podobnych organach, chociaż wydawnictwo mogłoby najłatwiej sobie dostać mnóstwo broszur czerwonych, napisanych głównie między 1863 a 1870 rokiem, nie mało emigracyjnych dzienników i dokumentów, objaśniających niejedne ciekawe fakta. Zadaniem i celem takiego wydawnictwa byłoby, podług mnie, zestawienie przeciwnych zdań i twierdzeń, krytyczne ich oświetlenie i odszukiwanie coraz nowszych dowodów; praca to żmudna i niewdzięczna, bo muszę przyznać, że korzystając z tajności ówczesnej, wszystkie stronnictwa kłamały i kłamią dotychczas, ile sił starczy, a ci, którzy mogliby prawdę powiedzieć, ci, którzy wówczas nie kłamali, leżą w skrawionych leśnych mogiłach, na stoku cytadeli, w dalekich borach Sybiru, albo we wspólnych grobowiskach francuskich miast. Dodam także, że nawet podczas powstania pa-

trzano się na wypadki, nie wiedząc co się dzieje, także z powodu owej tajności, i że tem bardziej teraz świadkowie sobie z wypadków sprawy zdać nie mogą, kiedy zamglona pamięć jeszcze bardziej wszystko zagmatwała.

Nie widać dotychczas, by wydawnictwo miało najmniejsze pojęcie o takiem zadaniu. Powtarzam, że oprócz pamiętników Deskura, niema w niem śladu opinji stronnników ruchu, a dokumentów demokratycznych bardzo mało. Niema więc mowy o bezstronności, właściwie mówiąc, o wszechstronności, a jest widoczny i wyłączny stronniczy kierunek, ogromnie nam szkodzący. Ponieważ ludzie, którzy grali wielką rolę w ówczesnych wypadkach i przodują po dziś dzień narodowi, jak Adam Asnyk, Ignacy Sewer-Maciejowski, Ludwik Kubala, Zygmunt Laskowski, Wojciech Biechoński i inni, między ktorymi, mogę wymienić Alfreda Szczepańskiego, ludzie, na których padają po większej części oskarżenia, o których mowa, nie życzą sobie na nie odpowiedzieć ani rozjaśnić własnemi wspomnieniami zagmatwanych dziejów Rządu Narodowego; — ja, aczkolwiek nie pierwszorzędny działacz organizacji narodowej i będący już w niewoli moskiewskiej w 1863 roku, czuję się zobowiązanym stanąć w obronie prawdy i rozjaśnić, o ile mi sił stanie, czem dzieło, o którem mówię, zawiniło w obec narodu i w obec sprawiedliwości.

Mam wprawdzie tylko własne słowo jako dowód, bom nigdy nie należał do »buchhalterów« i do »referentów« spisku, surowo nawet zabraniałem wszelkiej pisaniny; ale nie brak mi żyjących świadków i drukowanych źródeł, stwierdzających to, co powiem. Nie ciąży na mnie wina odstępstwa ani zdrady, chociaż pod grozą szubienicy, w celi skazanych na śmierć, podczas trzydziestoletniego wygnania na dalekim wschodzie; znajduję się oprócz tego w takiem korzystnem położeniu, że mam bronić tych właśnie »warchołów«, przeciw którym zawzięcie wówczas walczyłem, Chmielińskiego, Mierosławskiego i innych, od napaści ich byłych wielbicieli, pomocników i pochlebców, przedzierzgniętych dziwnym zbiegiem okoliczności w najwierniejszych czcicieli margrabi z Myszkowa i księcia Czartoryskiego. Mam za to osądzić własnych kolegów, Oskara Awejdę i innych, których błędy, zbrodnie nawet, mam w wielkiej części na sumieniu, bom im pozwolił zająć stanowiska, dzięki którym popsuli całą powstańczą sprawę, a potem posłali tysiące ofiar na szubienicę i na Sybir dla ocalenia własnej nędznej skóry.

Bronisław Szwarce.

ZWALCZENI.

Dramat historyczny w trzech aktach.

Napisała

Helena Ceysinger.

(Ciąg dalszy.)

SCENA IV. Andrzej, Zofja.

(Andrzej zwrócony twarzą ku morzu, opiera głowę na ręce i wpada w zadumę).

ZOFJA (kładzie mu łagodnie rękę na ramieniu). Czemuś taki zamyślony Andrzeju? Nie prędko może zobaczymy się znowu, powiedz mi lepiej zkąd przybywasz?

ANDRZEJ. Z Wenecji Zofjo, z miasta cudów i przepychu i temu właśnie, że wracam z Wenecji przypisz opóźnienie moje. Cały dzień wśród gondol patrycjuszów uwijała się moja gondola po wodach wielkiego kanału. Dotąd jeszcze czuję zapach kwiatów, którymi przystroiliśmy łodzie, dotąd w uszach moich brzmią tony upajających ich pieśni, dotąd widzę... (zatrzymuje się nagle zmięszany).

ZOFJA (z gorzkim uśmiechem). No, cóż widzisz dotąd bracie? Czemu urwałeś tak nagle? Czegoż to uszy moje niegodne były usłyszeć?

ANDRZEJ. Chciałem powiedzieć, że dotąd widzę białe marmury pałaców, zawieszone między dwoma szafirami, wieże, co kąpią się w niebieskim lazurze, że widzę miasto-cud całe promieniem światła oblane, że widzę Wenecję.

ZOFJA. Andrzeju, Andrzeju! Czy tak mówić tobie przystoi? Ty, syn największego wroga Wenecji, syn tej biednej ziemi pohańbionej niewolą! Co z tobą się stało, bracie?! Więc ty kochasz Wenecję? Czy nie wiesz, że ojciec twój radby marmury te w ich lazurach zatopić, żeby śladu nie pozostało na ziemi po tej, co szyje nasze w obroże zakuła?! Ciebie tak upaja jej piękność i zbytek, że zapominasz o kraju twoim i byle nie stracić chwili zabawy na wielkim kanale, zaniedbujesz rozkazy ojca! I z kim się ty bawisz?! Z ciemięzcami naszymi! Czem wkupiłeś się do grona tych wykwintnych panów? Oni tam szydzą z twego kraju, z twoich braci nieszczęsnych, z twojej słowiańskiej prostoty, a ty uśmiechasz się do nich i nie masz siły wyrwać się z Wenecji! O bracie!

ANDRZEJ. Zofjo, nie widziałaś nigdy Wenecji. Nie darmo zowią ją »la bella« (mówi rozmarzony jakby do siebie) Jabym ją tylko do najpiękniejszej pod słońcem kobiety przyrównał... Postać lekka, wiotka, biała wychyla się z morza, jak bogini miłości... oczy czarne, wskroś przejmujące... tajemnicze jak noc... głębokie jak przepaść ciemna... nie zgadniesz nigdy, co leży na

dnie tych oczu! O siostro, gdybyś ją widziała, tę dumną, tę piękną, tę panią morza!

ZOFJA (przestraszona). O jakiej kobiecie ty mówisz Andrzeju? Opamiętaj się! Cóż to za urok rzucono na ciebie?

ANDRZEJ (z westchnieniem). Ach, tak, czar, ale już prysnął! Czego chciałaś odemnie, siostro?

ZOFJA. Koń twój czeka, masz jechać w góry.

ANDRZEJ (niechętnie). Jeszcze czas.

ZOFJA (zarzucając mu ręce na szyję). Andrzeju, bracie mój, spójrzyj mi w oczy, proszę! Czyś ty już zapomniał miłości siostry? Czy nie wiesz, że ona kocha cię, jak nikogo na świecie? (Andrzej ściska ją). Bracie, zapomnij na chwilę o Wenecji i jej czarach. Czy pamiętasz jak ty, mały chłopiec jeszcze, i ja, niedorosła dziewczyna, chodziliśmy razem w góry nasze, strome, przepaściste, chodziliśmy zbierać głogi i wrzosy?... Czy pamiątasz, jak zmęczeni siadaliśmy nad brzegiem potoku i patrzyli w przestrzeń, w dal? Jakie to piękne były te góry! Pamiętasz? Mówiłam ci: »piękne są, bo nasze, rodzone« jak wtedy dziecko wrażliwe, na dźwięk tego jednego słówka szlochałeś, a ja płakałam wraz z tobą i całowaliśmy ziemię ojczystą kwieciem i zielenią porosłą, przytulaliśmy się do niej, jak do matki i przysięgali oswobodzić ją! Bracie, czy pamiętasz te chwile? Stawałeś dumny, jak władca tych gór i groźnie patrzyłeś w stronę morza, a ja myślałam sobie, »na obrońcę go wychowam, na bohatera! Na śmierć poświęcę, na męki oddam, wszystko dla niej, dla ojczyzny!« Matka — ty nie widziałeś matki — matka mi ciebie oddała i powiedziała: »to twój brat«, a potem umarła. Odtąd zawsze słyszałam te wyrazy w mojem sumieniu. Byłeś tchnieniem mego życia. Kochałam cię nie jak siostra, kochałam jak własne moje dziecko. Sieroto biedny! Nie miał cię kto pieścić, ja cię przytulałam do piersi, ja cię pieśnią usypiałam. Ach, bracie, gdybyś ty umarł i ja bym żyć przestała!

ANDRZEJ (z płaczem rzuca się w jej objęcia) I ja kocham ciebie, zrobię wszystko co zechcesz, tylko mów dalej do mnie. Widzisz, tak mi ciężko jakoś, tak smutno, moja ty matko kochana!

ZOFJA. Andrzeju, czy pamiętasz tę smutną, góralską piosenkę, której nauczył nas stary Sawa, a potem śpiewaliśmy ją razem na morskich wybrzeżach? Czy pamiętasz nutę tej pieśni?

ANDRZEJ. Siostro, pamiętam dziką pieśń góralską! Od słodkiej tęsknoty, do rozpaczy i szału przechodzą w niej słowa i melodja, a koniec mieści przekleństwo na zdrajców ojczyzny. Tak, śpiewaliśmy ją razem, a bałwany morskie grały nam do wtóru. Dziwną siłę wlewała ta pieśń w duszę moją, ale teraz dawno już nie myślałem o niej. Bądź zdrowa siostro! Czekają na mnie. Bądź spokojna, jam i dziś gotów na śmierć, na męki pójść dla niej. Czyś sądziła, żem o wszystkiem zapomniał? Antonio, konia! (zbiega na dół). Otom już na koniu, lecę w góry, lecę do naszych. Dalmacja będzie wolna, przysięgam ci! (Andrzej odjeżdża. Zofja robi za nim w powietrzu znak krzyża św. Wchodzą wojewoda i biskup).

SCENA V. Zofja, Biskup, Wojewoda.

WOJEWODA. Księże biskupie, oto córka moja, gospodyni w osieroconym domu, a mnie pomoc i pociecha!

(Zofja całuje w rękę biskupa).

BISKUP. Piękny kwiat zakwitł wam w domu, wojewodo. Toż pewno niedługo znajdzie się taki, co go zerwać zapragnie?

WOJEWODA. Ani mnie, ani jej nie pilno.

BISKUP. Wdzięczna panienko, od starego przyjaciela twego ojca bez zarumienienia usłyszeć możesz, że choć wiele świata zwiedziłem, równych urodą nie wiele mi się spotkać zdarzyło. I w Wenecji otrzymałabyś palmę pierwszeństwa.

ZOFJA. Przyjaźni dla mego ojca przypisuję tak pochlebne o mej piękności zdanie Waszej Ekscelencji.

WOJEWODA. Prawdę mówi dziewczyna. A teraz zostaw nas Zofjo i pójdź przyjąć, jak należy, drużynę naszego dostojnego gościa (ciszej). Gdzie Andrzej?

ZOFJA (tak samo). Pojechał do Podgorycy.

WOJEWODA. Dobrze.

(Zofja odchodzi).

BISKUP. Mości wojewodo! Jakkolwiek miłym mi twój dach i gościna, skłamałbym, gdybym ci oświadczył, że tylko chęć oglądania znowu towarzysza lat młodzieńczych przywiodła mnie w twoje progi. Znam twoją szczerość, dla tego otwarcie pomówić z tobą pragnę. Od pewnego czasu dochodzą mnie wieści, że knujecie jakiś spisek, a przed tygodniem zapytano mnie z szyderstwem, jak prędko pójdę błogosławić dalmackie sztandary na wojnę z Wenecją. Pytam się ciebie, co prawdą jest w pogłoskach, które od kilku miesięcy krążą nad ziemią naszą, przelatują z góry na górę, z miasta do miasta się przenoszą, po falach morskich biegną i we wszystkie dalmackie serca wlewają niepokój i grozę?

WOJEWODA Spytałeś mnie otwarcie, więc ci otwarcie odpowiem. Co prawdą jest w tych wieściach? Wszystko.

BISKUP. Gotujecie powstanie przeciw Wenecji?

WOJEWODA. Już przygotowane.

BISKUP. Na miłość Zbawiciela! Ale wybuch powstrzymać jeszcze można?

WOJEWODA. (z uśmiechem) Nie, nie można. Słuchaj księże biskupie, prochy nagromadzone czekają od lat wielu. Tylko iskrę w nie

rzucić. Tę iskrę w ręku trzymam ja. Czy możesz przypuścić, że ja jej nie rzucę?

BISKUP. Kiedy?

WOJEWODA. Gdy Genua wypowie wojnę Wenecji, co stanie się w tych dniach, a może stało się już.

BISKUP. Boże mój, Boże? Już zapóźno przybyłem! C. d. n.

Dwa manifesty *).

Nie wiem, czy doszło już do wiadomości szanownej redakcji, że w postaci niżej wyszczególnionych książek, literaturze ojczystej przybyły dwa pełne doniosłości manifesty literackie. Czytelnicy są zapewne również ciekawi poznać tak ważną dla nas sprawę — postaram się więc w krótkości opisać zjawisko. Pani, prawdopodobniej zaś (o czem niżej) panna Marja Komornicka wystąpiła w piśmiennictwie naszem po raz pierwszy i te oto wyrazy padły z ust jej na pierwszej karcie pierwszego wystąpienia:

»Krytyka literacka, dla której tradycja metody realistycznej stała się pewnego rodzaju estetycznem kryterjum, zarzuca autorom nietylko oddanie się wyłączne studjom psychologicznym pojedyńczych postaci, autoanalizę i pesymizm, ale i zaniedbanie formy, którem jest dla niej brak żywej akcji, złożonej intrygi i drobiazgowej obserwacji jej tła — jednem słowem — odstąpienie od szablonu realistycznej powieści. Nie potrzeba chyba zaznaczać, że kryterjum to jest ciasne i może być zrozumiane tylko jako zjawisko niechęci, z jaką ustępujący z pola kierunek literacki przyjmuje nowy...«

Nie umiem dokładnie objaśnić czytelników, czy ten cios bohaterski wymierzonym został tylko w pp. Matuszewskiego, Sygietyńskiego, Witkiewicza, czy też i w krytyków europejskich, jak: Lemaitre, De Vogue, Faguet, Brandes, Guyau itd. Manifest bowiem panny Marji nic o tem nie mówi i nie wyróżnia nikogo w motłochu »krytyki współczesnej«.

Następnie przebiegając dzieje literatury powszechnej, panna Marja odkrywa tajne dotąd prawa, że »polem jej działalności — dusza człowiecza«, oraz zapowiada tłumom, że następna faza literatury »będzie smutna, »negatywna« i zrozpaczona, że będzie wyznawczynią filozoficznego pesymizmu«. Tu urywa swe proroctwa, nie chcąc zbyt głęboko wprowadzić profanów w tajniki przyszłości... Pan Cezary Jellenta, należący do poniżonej przez pannę Marję kasty krytyków, jest twórcą drugiego manifestu. Jak zobaczymy, mimo pozornych różnic, oba te dokumenty zawierają w sobie prorocze jądro jednakiej prawdy. »Z pewnem zdziwieniem — pisze pan krytyk Jellenta — a może uśmiechem przekąsu wezmą do rąk czytelnicy ten zbiorek nowel«.

Przeczytawszy ten frazes, przypuszczałem, że szanowny autor ma na myśli cokolwiek »wysilony« wyraz umieszczony na tytułowej karcie jego dzieła — mianowicie »Wykrawki z życia«.

Nie o to jednak chodziło:

»Autor ich (Wykrawków) »tak często« powstawał przeciw szerzącej się u nas manji pisania powieści, że powinienby przynajmniej »sam nie dawać gorszącego przykładu«.

A — odrazu więc stajemy na właściwym gruncie: p. krytyk Jellenta chce nam bezpretensjonalnie przypomnieć, że aż tak często pisywał i że dalej jego »Wykrawki« są poniekąd gorszącym przykładem«.

Zestawiając ujmującą skromność pana krytyka względem siebie samego z wysoką pogardą panny Marji dla kasty krytyków — dalej myśl jej o »smutnej fazie« literatury z myślą szanownego Jellenty o »gorszącym przykładzie« — odnajdujemy istotną treść dwóch manifestów. Sprobujmy jednak iść dalej:

»Patrzyła zuchwale prawie, jak jedna z tych, co to wiodą rej na zebraniach koleżeńskich i mówią dużo, lecz z pogwałceniem składni«. Tak określa p. Jellenta jedną ze swych postaci.

Ponieważ zaś określenie to również dobrze daje się zastosować do panny Marji Komornickiej — nie będziemy więc rozpatrywali szczegółowo treści jej utworów, redukując tę czynność niemiłą do minimum. Szkic p. t. »Z fantazji realnych« zawiera charakterystyczną postać Heleny:

»Gwar uliczny dochodził do tej ciszy jak brzęczenie olbrzymiego owadu lub głuchy grzmot oddalonej burzy — a postać Heleny rozjaśniona »ponurą łuną« ogniska (na kominku) zdawała się należeć na pół tylko do ludzkiej istoty — do fantastycznie groźnego upioru tego głuchego zacisza«. Następnie zegar bije »zgrzytliwie«, Helena przechadza się już urywanym, już »obojętnym« krokiem i uśmiecha się ironicznie, patrząc na wchodzącego męża. Patrząc na jego bezmyślną, filisterską twarz, śmieje się z »dziką goryczą« i żąda rozwodu, ponieważ »pragnie wrażeń« i jest naturą wyższą. Rozmawiają o tem »nad niedopitą filiżanką herbaty, oboje paląc« — przyczem Helena zdradza »szatańską potęgę woli«, a twarz ma »zniszczoną«. Następnie demoniczna Helena opuszcza poziomego męża, gdyż to tylko »nienawiść dawała jej złudzenie miłości« — i odjeżdża. Później rozkochuje w sobie innego mężczyznę o »feudalnych poglądach na kobietę«, wreszcie chce go utopić i znowu odjeżdża. Rzecz kończy się na peronie kolejowym.

*) Marja Komornicka. „Szkice“. Księgarnia W. Obuchowskiego. Warszawa 1894. Cezary Jellenta. „W przesileniu“ (Wykrawki z życia) Gebethner i Wolf. Kraków 1894.

— Kocham cię Heleno. Stajesz się człowiekiem — (woła Nr. 2 feudalnego mężczyzny).

Kurcz szyderski przebiegł jej usta.

Gdybyś wiedział, pomyślała z zaciśniętemi zębami, że dziś dopiero staję się szatanem!“ — Koniec.

W innych utworach panna Marja zwycięzko rozprawia się z Nirwaną oraz z niektóremi zawilszemi kwestjami nauki. Taż Helena w ten sposób rozcina sporne zagadnienie psychologji »Bądźże bardziej psychologiem Adelo — czy ty nie znasz istoty woli? — Przecie ona jest czynną wypadkową popędów naszych.« Jakie to proste! — tak zupełnie, jakby pani Marja mówiła do swojej służącej: »To ty nie wiesz gdzie ten sklepik — przecie to zaraz na rogu«. Dok. nast.

Antoni Polocki.

NA DOŻYWOCIU.

SZKIC

Gabrjeli Preissowej.

(Dalszy ciąg.)

— A cóżby? sprzedaję ten oto koszyk.

— I skąd-że jesteście? wypytywała rozmowna staruszka, nie przerywając roboty.

— Z Dorazlic.

— Koszykarstwem się zajmujecie?

— Oh, nie; mieszkam u syna na dożywociu i od czasu do czasu wyplatam kosz, abym sobie dopomógł jakim groszem.

— Wszak macie dożywocie?

— Ha, złe! — westchnął pomimowoli dożywotnik. chociaż nie miał zwyczaju uskarżać się przed obcymi ludźmi.

Słowa jego wzbudziły ciekawość w staruszce, która go prosiła, aby na chwilkę usiadł dla ogrzania się na zydlu. Kluczka usłuchał i odtąd nie było już ani słowa o sprzedaniu kosza. Natomiast staruszkowie mogli się przed sobą wyżalić na złe czasy. Ona opowiadała, że mieszka u córki i zięcia, którzy pracują oboje na fabryce. Bez babuni doszliby do ostatecznej nędzy z temi dziećmi, ona bowiem opiekuje się niemi, a nadto gotuje i sprząta izbę; pomimo to jednak nie ma od córki ani uznania, ani wdzięczności. W ciągu tych zwierzeń poprosiła uprzejmie wyminkarza, aby ukroił sobie chleba, a wśród szczerej pogawędki czas upływał tak szybko, że w izbie mrok już zapadać zaczął, a najstarsze dziecko zrobiło uwagę, że tylko co nie widać matki z obiecanem pieczywem, jabłkami, orzechami i świeczkami do choinki.

Kluczka przypomniał sobie o domu, o długiej drodze, jaką miał przed sobą i obiecując staruszce, że wstąpi do niej niezawodnie na gawędkę, skoro będzie drugi raz w Wyhoniu, pożegnał ją śpiesznie, przyczem ona składała mu życzenia pomyślnego załatwienia interesu, wesołych a szczęśliwych świąt — I na tem się rozstali.

— Na Boga, jak mogłem tyle czasu stracić! — robił sobie wyrzuty dożywotnik, gdy znalazł się na ulicy.

W sklepie naprzeciwko zapalano już światło, tam więc skierował dziaduś swe kroki w nadzieji sprzedaży. Jakoż subjekt pozdrowił go uprzejmem słowem:

— Pięknie witam, czegoż to sobie życzycie?

Ale gdy wyminkarz powiedział z czem przeszedł, tamten zbył go krótko:

— Dajcież przynajmniej w wigilję spokój.

— Jak gdybym prosił go o jałmużnę — pomyślał z goryczą Kluczka, opuszczając sklep ze smutnem przeczuciem, że chyba wróci z koszem do domu i wnuczce nic nie przyniesie.

Ulicą kroczył jakiś otyły pan tata, wieśniak niezawodnie — i tego wszakże Kluczka ośmielił się zatrzymać pytaniem, czyby nie potrzebował kosza, lecz i teraz odpowiedź brzmiała odmownie.

Postanowił nakoniec sprobować szczęścia w okazałym, według wszelkiego prawdopobieństwa pańskim domu. Tacy ludzie miewają zwykle dużo pieniędzy i mogą kupić nawet rzecz niepotrzebną.

Uchylił ciężkie wrota, znalazł się pod mrocznem sklepieniem bramy i nacisnąwszy po chwili wahania klamkę drzwi najbliższych, przestąpił, próg lśniącej czystością, pełnej przyjemnych zapachów kuchni. Służąca, Słowaczka, zapalała właśnie światło i na pozdrowienie wyminkarza odpowiedziała pytaniem: »Czego chcecie, stryjku?«

— Radbym sprzedał ten oto koszyk — odparł wyminkarz, rozglądając się nieśmiało po kuchni — mogłabyś w nim nosić węgle lub drzewo.

— To do mnie nie należy — odrzekła dziewczyna i uchylając drzwi do sąsiedniego pokoju, zawołała: »Wielmożna pani, przyszedł tu jakiś staruszek z koszem na sprzedaż«.

Do kuchni weszła młoda, smukła pani ze świeczką zapaloną w ręku i zmierzyła Kluczkę obojętnym wzrokiem od stóp do głowy.

— Co macie na sprzedaż?

— Chciałbym, pokornie proszę wielmożnej pani, sprzedać ten oto koszyk.

— Jesteście tutejsi?

— O nie, mieszkam w Dorazlicach — odparł z przygnębieniem wyminkarz — i mam dwie dobre godziny drogi do domu, a muszę tam być dziś koniecznie.

— A więc umyślnie przyszliście do miasta z tym koszykiem? — wmięszała się do rozmowy służąca.

— Ba, umyślnie — przytwierdził wyminkarz·

— Nie macie z czego żyć? — zapytała z akcentem współczucia pani.

— Owszem, ale nie mam pieniędzy, a chciałbym coś kupić na gwiazdkę.

— Daj mu szóstaka, który leży tam na oknie, Marysiu — rozkazała pani i ze świadomością spełnionego dobrego uczynku cofnęła się do pokoju, śpiesząc do miłego zajęcia: do zapalania świeczek na choince, którą szykowała dla ukochanego jedynaczka, bawiącego się w tej chwili z ojcem w dalszym pokoju. Dziadek Kluczka dojrzał przez uchylone drzwi i choinkę i urządzenie pokoju, świadczące o zamożności i szczęściu, jakie bywają z przeznaczenia łaskawego losu — udziałem niektórych ludzi. Niby we śnie wziął pieniądz i słodkie ciastko, które mu litościwa służąca dodała z własnego popędu, podziękował zaledwie milczącem skinieniem głowy i wówczas się dopiero opamiętał, gdy ujrzał się na ulicy z niesprzedanym koszem w ręku.

— A jednak bywają dobrzy ludzie na świecie — mówił w duchu, usiłując stłumić nurtującą mu w piersiach gorycz, że wzięto go za żebraka.

Dokąd miał się teraz udać?

Szedł przez jakiś czas bez celu, aż ukłuło go przypomnienie, że noc nie na żarty zapada, podczas gdy on włóczy się po ulicach, niby pozbawiony rozumu i woli człowiek. Z ożywioną przeto energją i nowym zapasem cierpliwości zajrzał do jednego — drugiego — trzeciego — ósmego domu, aż nakoniec z bożą pomocą, a może i dzięki miłosierdziu ludzkiemu, sprzedał kosz za dwadzieścia pięć centów.

Gdy znalazł się znowu na ulicy, ściskając w garści pieniądze, zegar na kościelnej wieży wydzwaniał pół do siódmej. Tak długo zabawił w mieście, że teraz musi śpieszyć ile sił starczy, z powrotem, w przeciwnym bowiem razie Dorcia nadaremnie troszczyć się będzie o wieczerzę wigilijną dla starego dziadka i pukać do milczących jego drzwi.

Więc już ostrym krokiem szedł teraz wprost do domku znajomej kupcowej. Wdowa zamykała właśnie sklepik, aby wcześniej niż zwykle, wrócić tego dnia do domu.

— Zaczekajcie chwilkę, pani mamo — poprosił Kluczka, zaledwie mogąc mówić z pośpiechu — chciałbym coś jeszcze u was kupić.

Weszli oboje do sklepiku, a kobieta zapalając wiszącą lampę, spytała niezbyt uprzejmnie:

— Czem mogę służyć?

— Chciałbym kupić pierścioneczek o czerwonem oczku — tłumaczył wyminkarz, nie zwracając uwagi na kwaśną jej minę — ma on wyglądać jak złoty i być tak wielki, abym go mógł wcisnąć na mój mały palec.

W kilka minut później pierścionek był już wybrany, kupiony bez targu za dwadzieścia pięć centów i owinięty w papier. Kluczka pożegnał kupcową, życząc jej wesołych świąt i opuścił sklepik z wyrazem zadowolenia na twarzy.

— Ha, ciężką miałem pracę — myślał w duchu, ale dziewczątko moje warte tego zachodu. Teraz wstąpię jeszcze tam oto na czarkę gorzałki, aby się pokrzepić na drogę i dalej do domu. Dość jasno jeszcze na świecie bożym, cały firmament usiany gwiazdkami — trafię więc i bez latarni do Dorazlic. Sądzę, że w każdą chyba noc wigilijną bywa tam na wysokościach niemniej świątecznie, jasno, iskrząco. Miesiączek też wypłynie przed północą na niebo — bo i jakżeby wypłynąć nie miał! Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie się znajduje owa gwiazda, co wiodła św. trzech króli do Chrystusowego żłobka...

W gospodzie — pomimo uroczystego wieczoru — dość było gwaru i gości. Kluczka rozejrzał się po zgromadzonych i pomyślał, że nie wypada mu zająć wśród nich miejsca. Wypił więc stojąc, w trzech łykach, czarkę gorzałki za dwa grosze, poczem opuścił szynk niezwłocznie.

Na progu przystanął, uderzony przykrem wspomnieniem: »Eh, stary niedołęga ze mnie! — rozgniewał się na siebie — zostawiłem ciastko u kupcowej na ladzie, a możeby smakowało ono Dorci. Cóż robić, nie należy żałować po niewczasie — a jednak szkoda!

Mroźny wiatr zadął mu w twarz tem dotkliwiej, że rozgrzał się był cokolwiek gorzałką. Nogawica wysunęła mu się z buta i musiał ją ponownie zasuwać w cholewę. Przy tej czynności opuścił z ręki resztę, którą mu wydano z szóstki, gdy płacił za wódkę: czterocentową i dwie jednocentowe monety. Ponieważ jednak wzrok miał jeszcze bystry, a przez szklane drzwi gospody padało na ulicę światło, odnalazł bez trudności pieniądze, lecz prostując stare plecy pomyślał z żalem, że kij pozostawił w chacie Rejhana, gdy opuszczał ją pospiesznie z koszem tylko w ręku.

— Oh, niedołężna, stara głowo! — wyrzucał sobie po raz drugi tego wieczora. I było mu jakoś dziwnie ponuro na sercu w pierwszych chwilach tej powrotnej do domu wędrówki. Uszedłszy dopiero spory kawał drogi, przypomniał sobie o podarunku dla Dorki i serce mu się rozradowało tem wspomnieniem.

— Lecz, o Boże — Kluczka zachwiał się nagle, jak gdyby wybiła ostatnia jego godzina — gdzież on jest — gdzie jest?

W ręku nie niesie pierścionka, pod kożuch w lichą kieszeń sukmany nie mógł go przecież włożyć — ach, opuścił zapewne ten swój skarb wraz z drobnymi pieniędzmi, lub zapomniał go na stole w gospodzie. I taki smutek, taki żal ogarnął staruszka z powodu niewielkiej tej straty, że palące łzy zabłysły mu w oczach.

— O Boże mój, Boże! — skarżył się żałośnie — nieszczęście jakieś nie przestaje mię prześladować; wszystko mi się z rąk wymyka i tylko złe towarzyszy mi w życiu z niezmienną stałością.

I pośpieszył — ile tchu mu starczyło w uciśnionej piersi, z powrotem do Wyhonia, do gospody Krausa. Już przed drzwiami, gdzie mu drobne pieniądze wymknęły się były z ręki, rozejrzał się pilnie: tu najprawdopodobniej mógł leżeć owinięty w papier pierścioneczek, a przecie nikt chyba nie byłby nań zwrócił uwagi wieczorem. »A jednak nic — nie widać nigdzie nic«. Wszedł do gospody, kazał sobie podać znowu czarkę gorzałki i rozglądając się po szynkwasie, zapytał młodej dziewczyny, sprzedającej wódkę:

— Proszę was, panienko, czym nie zostawił tutaj zwitka papieru z pierścionkiem?

— Złotym? — zagadnęła ciekawie dziewczyna.

— Oh nie, — było to sobie zwykłe słowackie kółeczko z czerwonem oczkiem. Kupiłem go dziś właśnie w Wyhoniu i musiałem tu gdzieś zgubić, gdym pił pierwszą czarkę gorzałki.

— Nie widziałam — odparła obojętnie dziewczyna, otwierając w dalszym ciągu orzechy kościanym nożykiem. Na talerzu leżały przed nią jabłka i kawałek świątecznego ciasta, pomimo to jednak biedaczka niezbyt uroczyście spędzała wigilijny wieczór wśród podochoconych gości: wszak była obcą w domu, do nalewania jedynie wódki wynajętą dziewczyną.

Kluczka wychylił czarkę i usunął się bezsilnie na ławę. Nie myślał już teraz o tem, co wypada, a co nie. Wodząc oczyma po podłodze, widział sęki w deskach, niedopałki papierosów, nogi od zydli, otaczających stół, a między niemi migało kilka par nóg ludzkich, należących do pijaków, którzy zasiedli owe zydle.

Rozpaczliwie — szkaradnie dokoła, ale starzec nie odrywa znużonych od podłogi źrenic. W uszach mu szumią przykrym, niezrozumiałym gwarem dźwięki toczących się rozmów, gorąco bije od pieca i osłabia niemal do omdlenia, całe otoczenie jest mu wstrętne — on się jednak nie porusza, siedzi na ławie, jak przykuty. Aż o dziewiątej dopiero godzinie zbudziło go z tego snu na jawie wołanie dziewczyny, która sprzedawała wódkę: „Musicie już iść do domu — szynk zamykać będę!“

Wyrzuciła go, — więc powlókł się ociężale drogą, wiodącą w kierunku domu. Wiatr ucichł był przed chwilą, zimowa noc stała w całej swej krasie i zasługiwała teraz na baczniejszą uwagę, rzewniejsze mogła budzić upodobanie, niż przed paru godzinami. Ale głowa wyminkarza zdolna była w tej chwili do przygnębiających jedynie rozumowań, a myśl jego nie mogła podnieść się do tak dalekiej pociechy.

* * *

(Dok. n.)

Przegląd pism.

Prace filologiczne wydawane przez I. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia Mianowskiego. Tom IV. Zeszyt III. Warszawa 1893, str. 639—951 + X. 8-ki.

P. H. Łopaciński podaje kilka zabytków języka polskiego z końca XV-go i początku XVI-go stulecia, znalezionych w książnicy seminaryjskiej we Włocławku. Na szczególną uwagę zasługuje rękopis »Reguły trzeciego zakonu św. Franciszka«, zawierający tekst polski, odnoszący się przypuszczalnie do r. 1434, a przełożony z oryginału łacińskiego prawdopodobnie przez jakiegoś franciszkanina krakowskiego. Oprócz »Reguły« p. Łopaciński podaje głosy polskie z różnych rękopisów łacińskich, dwuwiersze polskie z XV i XVI w. itd.

P. Z. Glogier, zasłużony pracownik na niwie naszego ludoznawstwa, opracował słownik gwary ludowej w okręgu tykocińskim. Słownik ten można uważać za zbiór archaizmów mowy ludu w okręgu tykocińskim, gdyż za punkt wyjścia przyjął p. Glogier mowę starszego pokolenia ludu. Okolica, w której został zgromadzony ten materjał, jest bardzo ciekawą ze względu na to, że znajduje się prawie na samej granicy polskiego i białoruskiego obszaru etnograficznego.

Najciekawszą bezwątpienia pracą w zeszycie niniejszym jest obszerna ocena »Słownika języka pomorskiego, czyli kaszubskiego« p. S. Ramułta, dokonana przez prof. Kalinę. W ostatnich czasach w literaturze naszej ukazało się kilka prac narzeczu kaszubskiemu poświęconych, pomiędzy któremi »Słownik« p. Ramułta, jedno z wybitniejszych miejsc zajmuje. W pracy p. Ramułta znajdujemy materjał, wzięty bezpośrednio z ust ludu, a oddany za pomocą specjalnej grafiki w ten sposób, ażeby umożliwić filologowi jaknajdokładniejsze zrozumienie wszelkich właściwości tego narzecza. Podnosząc wielką pilność i sumienność autora, dr. Kalina robi jeszcze uwagi ogólne, następnie zaś przechodzi do rozbioru »Wstępu«, w którym p. Ramułt wypowiada swe poglądy na stanowisko kaszubszczyzny w rodzinie języków słowiańskich. P. Ramułt twierdzi mianowicie, że kaszubszczyzna nie jest narzeczem języka polskiego, ale stanowi samodzielny język słowiański. Prof. Kalina zupełnie zbija to twierdzenie i udowadnia, że wszystkie właściwości języka kaszubskiego, które przez autora zostały przytoczone na dowód jego odrębności, uznać należy za późniejszy tego języka wytwór, który na podstawie tego ustroju się odbywał, jaki w języku polskim tak dawniejszej, jako też i późniejszej doby, jako wspólna własność obydwóch języków, był w użyciu. Narzecze kaszubskie rozwijało się na wspólnym pniu języka polskiego, częścią samodzielnie, częścią zaś pod wpływem języka niemieckiego. Uwzględniając zatem jego rozwój historyczny, oraz porównywając jego właściwości językowe z językiem polskim, trzeba uznać za fakt, nie ulegający żadnej wątpliwości, że mowa Kaszubów jest narzeczem języka polskiego, nie zaś odrębnym językiem słowiańskim.

L. Wasilewski

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.